



K O N R A D K A L D Y Ń S K I

ODCIENIE SZAROŚCI

KONRAD KALDYŃSKI

O D C I E N I E

S Z A R O Ś C I

© Copyright by Konrad Kaldyński & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Konrad Kaldyński + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-467-7

ISBN druk: 978-83-8166-468-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2025

PROLOG

ODMIENIĆ SWOJE ŻYCIE

Pamiętał czasy, kiedy była jeszcze sprawna.

To było jakieś dziesięć lat temu, gdy pojawiły się pierwsze objawy choroby. Na początku były prawie niewidoczne i wyglądały jak efekt przemęczenia i przepracowania, a może nawet złej diety, która dla ludzi mieszkających w Piątku nigdy nie stała na pierwszym miejscu. Najpierw zaczęło się od ledwie wyczuwalnych mrowień palców i regularnego bólu głowy. Było to dla niej jak najbardziej do zniesienia. Tłumaczyła to smogiem, złym klimatem i ciśnieniem.

Przez tyle lat powtarzała to samo.

Potem, jakiś rok później, mrowienie przekształciło się w odrętwienie i niedowład dłoni i stóp, a ból głowy w okropne migreny. Ani on, ani ona nie wiedzieli, że jest chora. Choroba jednak nie miała zamiaru czekać i postępowała jak kula śnieżna tocząca się z niekończącego się wzniesienia. Nie chciała o tym rozmawiać, za każdym razem unikając tematu. W milczeniu zносиła wszystkie przeciwności, a w fabryce nawet o tym nie wspomniała, obawiając się o swoją posadę.

Kolejny rok jednak wystarczył, by przestała chodzić do pracy. Choroba spowodowała brak czucia w lewym przedramieniu – od czubków palców do łokcia. Z drugiej strony nie było lepiej, ale była w stanie operować prawą ręką, choć z trudem. Najgorzej było ze stopami. Chłopak był świadkiem, jak codziennie płakała, dźgając je palcem wskazującym i mówiąc, że nie są jej.

Gdy kierownik zauważył jej niesprawność, a ona zmuszona została do odejścia z pracy w fabryce „za porozumieniem stron”, Tim pojął, że ktoś musi zarabiać na utrzymanie domu. Wiedział, że będzie tylko gorzej. Miał jedenaście lat, jak zaczął brać wszelkie zlecenia, które dawały mu jakikolwiek dochód. Pomagał Luke’owi w spożywcaku, roznosił ulotki reklamowe wydrukowane na plastikowych panelach, wchodził do szybów wentylacyjnych i czyścił je w ramach pracy dla lokalnego serwisanta. Czasami nawet stał na czatach, gdy blokowy diler dokonywał transakcji.

Brał dosłownie wszystko. Pieniądze na rachunki musiały się zgadzać. Cena, jaką za to ponosił każdego dnia, była bez znaczenia.

Z biegiem czasu wszystko się pogorszyło. Mniej więcej pięć lat temu musiał posadzić matkę na wózku inwalidzkim. Nie miała już czucia w nogach, lewa ręka także nie funkcjonowała. Wózek nie był elektryczny, ale resztki czucia w prawym ramieniu pozwalały jej w miarę sprawnie poruszać się po mieszkaniu, a Tim pomagał jej tylko podczas toalety, w przygotowaniach do snu i przy porannym wstawaniu. Nie było to dla niego najprzyjemniejsze – widzieć własną matkę w takim stanie, a tym bardziej pomagać jej się myć czy wypróżniać. Ale robił to i starał się zapewnić jej choć trochę komfortu w życiu, którego niewiele jej pozostało.

Nie miał rodzeństwa. Nie miał ojca, którego by pamiętał. Nie miał też czasu na dziewczynę, która stałaby się kimś więcej i mogłaby być wsparciem w tym pełnym bólu, trudnym i skromnym żywocie.

W czasie trwania jej choroby wyszło na jaw, że wiele osób ma podobne dolegliwości. Wspólnym mianownikiem dla nich wszystkich była praca w fabrykach zajmujących się przetwarzaniem metali, które – jak się okazało – były

radioaktywne. Nikt z pracowników wtedy o tym nie wiedział, a pył wydobywający się podczas przetwarzania był szkodliwy. Przekrój efektów ubocznych był ogromny. U wielu ludzi wykryto nowotwory, które ich zabiły w ekspresowym tempie. Choroby płuc, mózgu, gardła, przełyku i inne podobne były wśród poszkodowanych normą. Ale lwia część chorowała właśnie na to, co jego matka – na chorobę całego układu neurologicznego, która powoli, aczkolwiek skutecznie wyłączała całe ciało. Rodzicielka Tima była już na tym ostatnim etapie, gdzie nie czuła kończyn i torsu, ale mogła mówić, jeść, oddychać i mrugać oczami.

W międzyczasie korporacja Arctic Metals, która zajmowała się wydobywaniem i przetwarzaniem szkodliwych surowców, przyznała się do winy. Jednak korporacyjne prawo – zarówno na całej Eteryi, jak i w Neoport – nie definiowało odszkodowań czy zadośćuczynień wynikających z takich sytuacji. Tim liczył na pokrycie kosztów leczenia matki, wymianę uszkodzonych elementów układu nerwowego na syntetyczne odpowiedniki czy nawet wymianę kończyn na „chrom” i postawienie jej na nogi. Zamiast tego dostał jedynie oficjalne przeprosiny wygłoszone przez przedstawiciela firmy w lokalnej telewizji i ogólnie skierowaną ofertę na bezpłatną eutanazję dla wszystkich poszkodowanych, która była mocno ograniczona czasowo. Kpina.

Prosiła go o to. Błagała. Twierdziła, że będzie mu lepiej bez niej. Że będzie mu przede wszystkim łatwiej. Był zdruzgotany i załamany, ale nie zgodził się. W jaki sposób miałoby mu to ulżyć? Za sobą miał lata życia w bólu i cierpieniu. Lata wyrzeczeń. Lata walki o przetrwanie. I teraz wynikiem końcowym miałyby być jej śmierć?

Nie. To nie było to, czego oczekiwał od życia. To była kobieta, która wychowała go w trudnych warunkach życia

w slumsach. Przewyciężyła wszelkie przeciwności, by był tym, kim się stał. Nie po to robiła to wszystko, by przypadkowy człowiek z jakiejś korporacji przyszedł i podał jej śmiertelną dawkę środka powodującego bezdech.

Od tamtego czasu obiecywał sobie, że kiedyś będzie lepiej. Że uda mu się wyjść z tego gówna, wyciągnąć matkę i zamieszkać gdzieś, gdzie nie dosięgną ich warunki, w których przyszło im wegetować. Że będzie miał normalną, pełnoetatową pracę, a nie parszywe zlecenia typu „przynieś, podaj, pozamiataj” czy te polegające na czyszczeniu szybów wentylacyjnych. Że zarobi dzięki tej pracy na jej leczenie, a nie na walkę z biedą, głodem i comiesięcznym czynszem do opłacenia. Że zapłaci za wymianę całego układu neurologicznego i jej pełną rehabilitację, a nie za jedzenie na maksymalnie trzy dni w przód, a potem „coś się załatwi”. Że kupi jej tym samym jakieś trzydzieści, może nawet czterdzieści lat życia bez cierpienia, zamiast trwania w męczarniach z perspektywą „do jutra”. Że kiedyś uda mu się być szczęśliwym, a nie fałszywie zmotywowanym do walki o przetrwanie.

To był jego życiowy cel – wziąć sprawy w swoje ręce, gdy tylko będzie taka możliwość i całkowicie odmienić swoje życie. Wciąż czekał na taką okazję.

„Nadzieja się tłąca, krucha jak cytryn”.

ROZDZIAŁ 1

PIĄTAK

Trzask drzwi poniósł się głośnym echem w ciemnej przestrzeni.

Anthony, wielki gość o skórze w odcieniu kawy z mlekiem, całkiem dobrze wpasowywał się pomiędzy ściany klatki schodowej, gdy sunął w dół. Barczysty do tego stopnia, że zajmował niemal całą szerokość przejścia, przemieszczał się z siedemnastego piętra z niezwykłą gracją. Nigdy nie używał windy. Siedemnaste piętro w trzydziestopiętrowym bloku, który i tak w tej okolicy nie sięgał połowy najwyższych budynków, nie wydawało się zbyt wysoko położone. Anthony sądził, że to pozwoli mu utrzymać minimum formy. To i codzienna siłownia.

Bardzo starał się dbać o kondycję i tężyznę, zwłaszcza od momentu zwolnienia z policji miejskiej Neoport. Ćwiczenia siłowe raz dziennie. Rozciąganie przed snem. Rozciąganie po przebudzeniu. No i te siedemnaście pięter w górę i w dół. Kilka razy dziennie.

Teraz to nie miało aż takiego znaczenia. Był zły. Bardzo. Jak ktoś, komu nie zapłacono za wykonaną robotę. Bo dokładnie tak właśnie było.

Anthony Wilks, niegdyś oficer Wilks w stopniu sierżanta, doszedł na parter i bez wysiłku otworzył stalowe drzwi. Wyszedł z klatki schodowej.

– Skurwiel nie chce nam zapłacić – rzucił tuż po wyjściu.

Tim mknął pośród wyrastających z betonowego podłoża ogromnych bloków, lekko gładząc nóż sprężynowy, który miał schowany w kieszeni materiałowej, oliwkowej kurtki wojskowej. Przeszedł wąską ulicą do samego końca i przeciął ją, nie zważając na to, że miał czerwone światło. Zerknął jedynie przez ramię.

Wszystkie ulice z wyjątkiem dwóch były w Piątku zbyt wąskie dla milionów ludzi na osiedlu, które zajmowało jakieś osiem kilometrów kwadratowych. Wysokie, gargantuicznych rozmiarów bloki mieszkalne składały się w klastry, a tych klastrow w Piątku było kilkadziesiąt. W większości tych betonowych, nierównych i obskurnych kwadratów można było się przemieszczać wzdłuż wąskich korytarzy osłoniętych od góry masami przewodów elektrycznych, dzikimi balkonami i praniem pozostawionym „na zewnątrz” do wyschnięcia.

Kiedyś Tim dostał od Jansena holofotkę przedstawiającą nieistniejące już ziemskie Kowloon. Wtedy, patrząc na to zdjęcie, obydwaj nie byli w stanie znaleźć różnic pomiędzy ich dystryktem, a tym ze zdjęcia, z tym że ich nazywał się bardziej zwyczajnie: Piątek.

Tim od zawsze jednak preferował przemieszczanie się ulicami zewnętrznymi. Nadkładał tym samym drogi dwukrotnie, ale czuł większą swobodę działania. W tych wąskich korytarzach, zwłaszcza na Czternastce, czyli Verticalu numer czternaście, gdzie mieszkał on i większość jego ekipy, można było z powodzeniem dostać kosę pod zebro, zostać ofiarą pobicia, stracić głupio życie albo zostać obrabowanym przez młodocianych, często głodnych i zdesperowanych gangsterów. Dlatego wychodząc z Czternastki, brał zawsze skrót przez spożywczak Luke’a Acida, którego znał od urodzenia, i rampą załadunkową wychodził na ulicę.

Verticale były tym typem ogromnych budynków, w których kino było na dwudziestym drugim piętrze, market na trzydziestym, klinika stomatologiczna na siedemnastym, przedszkole na szesnastym, a szpital od pięćdziesiątego szóstego do sześćdziesiątego. Do tego dochodziła szkoła podstawowa i średnia na piętrach o numerach siedemdziesiąt jeden i dwa, ogród na dachu, siłownia na osiemdziesiątym trzecim, strzelnica jedno piętro wyżej i niezliczone miejsca przeznaczone na mniejsze sklepy z ubraniami, lombardy, spożywczaki, sklepiki z biżuterią czy sprzętem elektronicznym.

A pomiędzy tym wszystkim znajdowały się mieszkania – ciasne i upakowane jedno przy drugim do tego stopnia, że niektóre z nich nie miały okna, chociażby z widokiem na wewnętrzną stronę budynku.

Verticale. Tak właśnie wyglądały.

W czasach pierwszych osadników, jeszcze przed rebelią, która zniszczyła miasto, w ramach pokrycia zapotrzebowania na mieszkania rząd Eteryi wprowadził coś takiego jak Public Housing Project – Vertical City, czyli ustawę mieszkaniową dla mniej zamożnych, według której zbudowano na terenie miasta dziewięćdziesiąt sześć wieżowców nazwanych od niej Verticalami. Były to wysokie, modułowe budynki. W skład jednego Verticalu wchodziły trzy ustawione na sobie moduły. Każdy z nich miał kształt sześcianu o wymiarach kilometr na kilometr. Ustawa miała na celu wykorzystanie ograniczonej mocno przestrzeni miejskiej poprzez rozrost miasta do góry.

Po rebelii, gdy wytyczono nowe granice, wszystkie Verticale, które znalazły się po korporacyjnej stronie miasta, zostały wyburzone, a ich mieszkańcy przesiedleni bez przydziału mieszkaniowego do istniejących Verticali na terenie Custer, Piąta i East Town. To przełożyło się na niekontrolowaną samowolkę budowlaną. Nowi mieszkańcy Verticali, nie

mając za bardzo gdzie się podziać, zaczęli masowo dobudowywać własne mieszkania do ścian budynków tuż przy ich podstawach.

Z czasem te nieregularne, doczepione na siłę struktury rosły w górę, w niektórych miejscach sięgając nawet jednej trzeciej wysokości całego Verticalu. Wtedy też media zaczęły nazywać te budynki megastrukturami, choć na innych planetach czy chociażby w ziemskich miastach były nazywane zwyczajnie megablokami lub megabudynkami.

Wciąż gładząc obudowę schowanego noża, przeciął jeszcze dwie klaustrofobiczne uliczki, przepuściwszy wcześniej kilka aut. Wyszedł za róg, wymienił uprzejmości z kilkoma podobnie wyglądającymi typkami, których znał z osiedla, i przeszedł dalej, w kierunku potwornie szerokiej Piątej Alei biegnącej centralnie na osi północ – południe. Wzdłuż niej skierował się w dół ulicy, na południe, aż do skrzyżowania, gdzie przecinała się ona z inną Piątą Aleją. Ta także znajdowała się w samym centrum osiedla, ale biegła wzdłuż osi wschód – zachód i była tak samo obrzydliwie szeroka, z dwunastoma poszerzanymi pasami dla ruchu naziemnego, chodnikami i miejscami parkingowymi po obu jej stronach.

Skrzyżowanie alej było środkiem ich dzielnicy, stąd nazwa Piątak. Ale nawet ona wyewoluowała z czasem. Najpierw była Piąta Aleja. Potem Podwójna Piątka. Następnie Piątka. A na sam koniec jego obecna nazwa: PIĄTAK.

Przechodząc przez największe w dzielnicy skrzyżowanie, zamyślony Tim nie napotkał ani jednego auta na przeszkodzie. Znaczący, było ich tutaj całkiem sporo, ustawionych na każdym pasie dojazdowym do skrzyżowania, a jeszcze więcej było spalonych i porzuconych, wrośniętych w beton, ale Tim poruszał się po swojej okolicy tak sprawnie, że uniknął potrącenia czy chociażby ostrzeżenia klaksonem, gdy przebiegał

przez dwanaście równolegle biegnących pasów ruchu. Chyba że korpopsy zamykały inne ulice.

Odgonił myśli, zostawiając tylko jedną. Czego chciał Anthony?

Aria i Jansen tak samo jak Tim pochodzili z Czternastki. Tak samo jak on dostali od Anthony'ego telefon. I tak samo zmierzali właśnie pod jego lokum, z tym że szli z przeciwnego niż Tim kierunku. Kłócili się. To u nich był standard, codzienność, rutyna.

Aria, ubrana w kciekę mini odsłaniającą neonowy tatuaż na lewym udzie, tuż pod pośladkiem, żwawym krokiem pędziła przed siebie, sprawiając wrażenie takiej, która ucieka przed idącym za nią wysokim, szczupłym typkiem o zapadniętych policzkach i trzech brakujących przednich zębach, czyli Jansenem. Miał w dłoni ciemnobrązową butelkę, a na jej dnie chlupały resztki niedopitego piwa. Podbiegł i złapał Arię za dłoń.

– Gdzie się, do kurwy, szlajasz całymi dniami? – warknął.

– W dupie, a gdzie? Jesteś moim ojcem? Nie twoja sprawa, mówiłam to już milion razy! – wykrzyczała, ale bardziej przed siebie, bo nawet nie odwróciła głowy.

– Ja jebię, tak trudno ci zrozumieć, że nie lubię, jak znikasz? Krótka chwila milczenia zawisła między nimi.

– Odpowiesz coś? – dopytał.

– Nie. – Zatrzymała się na środku chodnika. – Nie twoja sprawa, gdzie chodzę i z kim. Ani jak długo jestem poza domem. Jansen, jesteście sąsiadami, a nie jebaną parą!

– Przecież o tym wiem! – Jansen wysunął głowę w jej stronę.

– A zachowujesz się, jakbyś nie wiedział. – Pociągnęła nosem, chcąc wchłonąć resztki białego proszku, który tam zalegał. – Jestem już dorosła. Od dawna – wysyczała przez zęby i ruszyła dalej. On ruszył za nią, ale bez słowa.

Prawda, Aria była dorosła. Od kilku miesięcy oficjalnie, ale to nie zmieniało w rzeczywistości niczego. W tym slumsie albo osiąga się dorosłość na wczesnym etapie, albo ginie w strzelaninie, bądź kończy jako zwłoki pozbawione organów w rurze odpływowej. Dlatego Aria, mimo że dopiero co osiągnęła pełnoletność, od kilku lat dorabiała sobie, czym mogła, na kim mogła i gdzie mogła. Niestraszne jej były warunki. Mogło to być mieszkanie klienta, każdy winkiel na Piątku lub samochód – sprawny lub nie. Typ klienta też jej nie odstraszał. Robiła to z każdym, kto chciał i płacił. Nie mogła wybrzydzać, zwłaszcza przy takiej konkurencji, jaka była na osiedlu. A kasa? Była niewielka, ale zawsze coś. Po odliczeniu stawki lekarza, który dbał o to, by jej przybytek był zawsze czysty, zostawało na codzienne wydatki, takie jak jedzenie, prąd, woda, opłacenie abonamentu na pralkę czy kablówkę i jakieś używki, które pozwalały to wszystko przetrwać.

Idący za nią Jansen, który niezbyt dobrze znosił te niekończące się kłótnie, nie był jej chłopakiem ani partnerem. Nie był nawet jej alfonsem. Był jej sąsiadem, od zawsze. Jego rodzice wraz z rodzicami Arii mieszkali w Czternastce naprzeciwko siebie w obskurnych, zatęchłych i zbyt małych mieszkaniach. Znał ją od dziecka i się nią opiekował. Zawsze starał się ją chronić przed złem. Nie zawsze mu się to udawało. Był od niej nieco starszy, znał znaczną część rzezimieszków z tamtej okolicy, bo sam był typowym slumsiakiem i mógłby poprosić ich o kilka przysług, by Aria nie musiała robić tego, co robiła, ale zostałyby bez grosza. A wiedział, że nie byłaby z tego powodu szczęśliwa. Musiała przecież jakoś zarabiać.

Robota w ekipie, którą zazwyczaj wykonywali wraz z Anthonym, nie wpadała zbyt często. Dlatego każdy z nich musiał mieć jakieś zarobkowe zajęcie ze względnie stałym dochodem.

Jansen na co dzień zajmował się drobnymi kradzieżami kieszonkowymi i przekrętami bilardowymi. Nie zarabiał wiele, ale miał też niewielkie potrzeby. Od kiedy wyrzucił własnych rodziców do zbiorowego lokum dla niedołączonych na północnym skraju Piąta, nie musiał się martwić ich utrzymaniem. Teraz robili to mnisi z jedyne w całym mieście klasztoru. Tak więc jego koszty utrzymania były stosunkowo niskie.

Aria zajmowała się prostytutką. On się mocno piekło, gdy ona znikła na całe dni i włóczyła się po ciemnych alejkach, norach klientów i podrzędnych spelunach. Ona z kolei wkurwiała się, że musi to robić, by opłacić podstawowe rachunki. Miała jeszcze ojca, którego wszyscy z ekipy znali, ale nikt nigdy o nim nie wspominał. Wiedzieli, że to dla niej drażliwy temat.

Dlatego oboje ucieszyli się na telefon od giganta-ekspolicjanta. Aria, bo chciała już odebrać kasę za poprzednią robotę. Jansen, bo chciał myśleć o czymś innym niż jej nagie dupsko w chacie jakiegoś ohydne obelcha. A gotówka też by mu się przydała.

– Patrz, Tim już jest – powiedział Jansen do Arii po kilku minutach ciszy, gdy zbliżyli się pod blok Anthony'ego.

– Zauważyłam.

Spis treści

PROLOG ODMIENIĆ SWOJE ŻYCIE	4
ROZDZIAŁ 1 PIĄTAK	8
ROZDZIAŁ 2 KORPORACYJNE BEZPRAWIE	15
ROZDZIAŁ 3 BLACK UNION ARMS	24
ROZDZIAŁ 4 MOŻE JEDNA KROPKA ZASTRZELIŁA DRUGĄ?	33
ROZDZIAŁ 5 RAPORT Z INTERWENCJI NUMER 11	42
ROZDZIAŁ 6 KAŻDĄ PRACĘ	53
ROZDZIAŁ 7 ZA DUŻO	67
ROZDZIAŁ 8 TO	87
ROZDZIAŁ 9 TEN ŻART JEST STARSZY NIŻ NEOPORT	97
ROZDZIAŁ 10 KIM JEST ANTHONY WILKS?	117
ROZDZIAŁ 11 JEGO PIERWSZY TRUP	126
ROZDZIAŁ 12 SZUKAĆ ODPOWIEDZI	147
ROZDZIAŁ 13 ZASTANAWIAJĄCE	162
ROZDZIAŁ 14 CAŁKOWICIE BEZBRONNY	171
ROZDZIAŁ 15 OSTRZELANIE BEZ OSTRZEŻENIA	191
ROZDZIAŁ 16 DOTRZEĆ DO PRAWDY	203
ROZDZIAŁ 17 ZŁOŚĆ I ŻAŁ MIAŁY SWOJE GRANICE	215
ROZDZIAŁ 18 POCZTÓWKI Z ZIEMI	232
ROZDZIAŁ 19 NADAL SIĘ ZATRACALI	250
ROZDZIAŁ 20 BEZPIECZEŃSTWO	260
ROZDZIAŁ 21 CHCIAŁEM STAĆ SIĘ DOBRYM CZŁOWIEKIEM, WALCZYĆ Z PIEKŁEM, WZIAĆ TO NA PLECY I NIEŚĆ	270
ROZDZIAŁ 22 CIERPIENIE	282
ROZDZIAŁ 23 INNE ZADANIE	294
ROZDZIAŁ 24 SKAKANIE PO CIENKIM LODZIE	307
ROZDZIAŁ 25 RACHUNEK SUMIENIA	318
ROZDZIAŁ 26 CZŁOWIEK ZNIKĄD	329
ROZDZIAŁ 27 BEZ PLANU NIE TYLKO NA PRZYSZŁOŚĆ, ALE TEŻ NA TERAŹNIEJSZOŚĆ	339
ROZDZIAŁ 28 WITAMY W VERTICALU NUMER CZTERNAŚCIE	350

ROZDZIAŁ 29 PRZEKAŻ TO TANACE!	361
ROZDZIAŁ 30 AW	370
ROZDZIAŁ 31 BEZ WYJĄTKU	392
ROZDZIAŁ 32 NIE BĘDĘ MÓGŁ CIĘ URATOWAĆ	405
ROZDZIAŁ 33 WYKORZYSTAĆ SZANSĘ	419
ROZDZIAŁ 34 JEDNO POTKNIĘCIE	427
ROZDZIAŁ 35 W STRONĘ WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA	450
ROZDZIAŁ 36 ZABIĆ	457
ROZDZIAŁ 37 KORPORACJA TRZYMA DOBRĄ STRONĘ	466
ROZDZIAŁ 38 DOKĄD TO WSZYSTKO ZMIERZAŁO?	476
ROZDZIAŁ 39 STRATY NIE GRAŁY TU ŻADNEJ ROLI	485
ROZDZIAŁ 40 POGODZENIE SIĘ Z WŁASNYM SUMIENIEM	499
ROZDZIAŁ 41 ZAPOMNIENIE WIN	511
ROZDZIAŁ 42 O WSZYSTKO ZADBAĆ	523
EPILOG BEZ NAZWY	533
OD AUTORA	543